

Duplice, 1716 rok

W kościele panował chłód wieczoru. Świece przy bocznych ołtarzach paliły się nierówno, jakby walczyły z ciemnością, która wpełzała przez szczeliny drzwi. Grube mury trzymały w sobie wilgoć, a ciężki, niemal dotykalny zapach wosku i kadzidła unosił się nisko. W ławkach siedziało kilka kobiet modlących się półgłosem, a gdzieś z tyłu płakało dziecko, uciszane przez matkę.

Do kościoła wszedł wysoki mężczyzna, wysoki, o spracowanych dłoniach, w sukmanie przesiąkniętej dymem z paleniska. Poruszał się ostrożnie, jakby bał się, że jego ciężkie kroki zakłócą świętość miejsca. Zdjął czapkę, przeżegnał się powoli, z namysłem, po czym podszedł do konfesjonału, w którym siedział ksiądz, starszy, o twarzy pooranej zmarszczkami, z oczami zmęczonymi, ale czujnymi. Klęknął powoli, jakby każdy ruch ważył więcej, niż powinien. Przeżegnał się, a jego stłumiony głos zabrzmiał głęboko:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
Zza kratki odpowiedział spokojny, zmęczony głos kapłana:

– Na wieki wieków. Amen.

Mężczyzna odchrząknął, jakby zbierał się w sobie.

– W imię Łojca i Syna, i Ducha Świntego.

– Amen.

– Ostatni raz spowiodołym się... przed Wielkanocą. Pokutę odprawiełym. Proszę o wysłuchanie.

Kapłan skinął głową, cień jego ruchu przesunął się po kratce.

– Mówcie, Janie.

Mężczyzna drgnął, gdy usłyszał swoje imię, ale po chwili wziął głęboki oddech.

– Obrazięym Pana Boga... – zaczął, a słowa płynęły powoli, ciężkie jak kamienie. – Gniewym... bom nieroz krzycoł na syna, na babę. Nawet na somsiada. Mom język ostry i casym... – Zawahał się, jakby to, co najważniejsze, trzymał jeszcze za zębami. – I... do karczmy chodziełym... cynści, niż trza. I piełym, nieroz do nieprzytomności. A jak wypiełym, to i słowa brzydkie leciały, i przekliństwa na Boga, i na ludzi.

Kapłan słuchał w milczeniu, po chwili zapytał:

– Pijaństwo prowadzi do wielu grzechów. Nic go nie usprawiedliwia. A bójki były?

Jan się zawahał. Potarł twarz ręką.

– Miołym chynć nie roz przyłożyć komu nie bądź.
Zwłaszcza tera, jak wyszło to wszystko...

– Zgoda między ludźmi to rzecz święta. A wy, jako uczeń
Naszego Pana, powinniście bliźniego miłować.

– Nawet takiego, co to mnie w kościele przeklino?

Ksiądz westchnął.

– Janie... musicie spróbować... pogodzić się.

– Dopierośmy się godzieli. I na co?

– Janie! Po cóście przyszli? Do spowiedzi czy klócić się
ze mną? Jak chcecie, możecie iść, ale nie zdziwcie się, jak
powiem o was biskupowi...

Musiał milczał. Opuścił głowę, jakby zastanawiał się
nad tym, co powinien zrobić. W końcu odezwał się po
dłuższej chwili:

– Wybaczcie, dobrodzieju. Przyszedym, bo serce mnie
gryzie. Bo żem zgrzeszył, a i moja mówiła, że tak dali nie
może być, że człek musi się ocyścić przed świntami.

– Każdy musi. Mów więc dalej. Odmawiasz modlitwy?
Pacierz rano i wieczór?

– Bywało, że nie odmówiełym. Cłek robi cały dzień,
wiecorym padnie na posłanie i śpi. A rano to i casym
zapumniołym...

Ksiądz skinął głową, jakby to wszystko było mu do-
brze znane.

- A do znachorek chodziłeś? Do babki od uroków?
- Chodziłem. Bo kuń chorował, bo krowa się schwo-
cieła, mleka nie dawała, a żem się boł, że padnie. Bobka
mówiała, że urok ktoś rzucił, że trza odcyniać. Dała zioła,
szepiała nad wodą... Ja nie chciałem grzeszyć, ale strach
był winkszy.
- To grzech ciężki, synu. Zaufanie w gusła, nie w Pana
Boga. Trzeba się tego wystrzegać.
- Musiał kiwnął głową, jakby przyjmował cios.
- Wim, dobrodzieju. Ale człek różne rzeczy słyszy. A jak
bieda przycisnie, to i rozum się gubi.
- Coś jeszcze?
- Jan się zawahał.
- Wincy grzechów nie pamintom, Boże, bądź miłociw
mnie grzesznemu.
- Przez chwilę panowało między nimi ciężkie milczenie.
- Dobrze, synu. Pokuta będzie, Pan Bóg jest miłosierny
dla tych, co przychodzą z sercem skruszonym. Ale ty... –
Ksiądz westchnął. – Przyszedłeś, bo tak wypadało. Zaraz
będą święta, chcesz przystąpić do komunii.
- Księżu dobrodzieju...
- Posłuchaj mnie, Janie. To już cztery niedziele minę-
ły, jak żeście się z Wiewiórą pokłócili. I nic. Gniew tylko
między wami od tamtego czasu. Dlaczego tego nie żału-
jesz, Janie? Dlaczego nie prosisz go o wybaczenie? Dla-
czegoś nie poszedł najpierw do niego, a dopiero tutaj

wyspowiadać się? Twoja spowiedź nieważna będzie, jeśli złość i nienawiść będziesz nosił w swoim sercu. Tego chcesz? Przez swoją zawziętość nie być dopuszczonym do radości w Królestwie Niebieskim?

Ksiądz pochylił głowę i czekał na odpowiedź Musiała.

Ale ten milczał.

– Czy to jest ten grzech, o którym żeś nie chciał pamiętać i żeś go pominął?

Cisza.

W końcu ksiądz westchnął.

– Janie, ciężki to grzech, grzech zaniechania. I upór niczemu dobremu nie służy. Nie tak nauczał nas Pan Jezus. Twoim obowiązkiem, jako ojca, jest pokazanie synowi właściwej drogi. A skoro twój syn do cielesnych uciech był chętny, powinien wiedzieć, że skoro Pan Bóg daje dziecko, to trzeba je przyjąć. Nie odtrącać matki, a uczynić swoją. Naprawić grzech, by dziecko jako owoc miłości małżeńskiej przyszło na świat, a nie jako bękart. Jak ty syna przekonasz, by się z Łonianką ożenił, to ja ci rozgrzeszenie dam. Do tego czasu idź w pokoju. – Ksiądz uczynił znak krzyża i zapukał w konfesjonał.

Jan klęczał jeszcze chwilę, jakby zastanawiał się, czy odejść, czy zostać. Chciał powiedzieć księdzu, że to przecież nie jego grzech, że Ewa z brzuchem chodzi, ale nim otworzył usta, dotarło do niego, że to, co proboszcz powiedział, było słuszne. Powinien porozmawiać z Szymkiem.

Przemówić mu do rozsądku, jak będzie trzeba, nawet zmusić, by wziął Ewę. I tak teraz nie miał szans, by jakaś chciała za niego iść. Nawet chłopcy patrzyły na niego z politowaniem. Czas temu zaradzić, naprowadzić syna na właściwą drogę. Nawet jeśli to oznaczało, że będzie musiał zrobić coś, na co nie miał ochoty.

Duplice, miesiąc wcześniej

Nim Musiałowie wrócili do chałupy, wieść o tym, co zaszło w kościele, rozniosła się lotem błyskawicy nie tylko po Duplicach, ale i po Złakowie. Jan milczał przez cały czas. Usta miał zaciśnięte, że ledwo widać było cienką kreskę. Nerwowo poganiał konia batem, nie patrząc na siedzących na wozie. Źle mu było. Nie wiedział, w jaki sposób pozbyć się złości, która zbierała się w środku i niemal kipiała, chcąc się wydostać. Bał się odwrócić i spojrzeć na Szymka, bał się otworzyć usta, by nie powiedzieć czegoś złego. Patrzył na drogę i w myślach odliczał staje, jakie jeszcze zostały do chałupy.

Marianka siedziała obok męża i obserwowała go uważnie. Nie odzywała się. Dobrze znała Jana, była pewna, że teraz jest zły i byłoby głupotą z jej strony, gdyby go jeszcze bardziej drażniła.

Spojrzała przez ramię na siedzącego równie cicho Szymka.

Ten dzień zapowiadał się zgoła inaczej, miało być wesele, a wyglądali, jakby wracali z pogrzebu. Patrząc na syna, zastanawiała się, dlaczego wybrał Ewę? Nie potrafiła tego zrozumieć. Po co walczył o Jagniesię? Czemu tak bardzo zależało mu na ślubie z nią?

Kiedy wjechali na podwórze, Jan ściągnął lejce i zatrzymał konia.

– Prrryyy!

Szymek nie czekał nawet, aż wóz się całkiem zatrzyma, tylko zeskoczył z fury wprost na rozmokłą ziemię.

– Jak ci się widzi, co pójdziesz gdzie tera, to się grubo mylisz! – krzyknął Musiał. Rzadko podnosił głos. – Do chałupy! Pogadać nam trza!

Chłopak odwrócił się przestraszony. Nie chciał się przeciwstawiać ojcu, ale nie miał jeszcze dość odwagi, by z nim porozmawiać. Spojrzał na matkę, szukając ratunku. Musiałowa popatrzyła tylko na syna, po czym skinęła głową w kierunku chałupy.

Jan zamknął drzwi mocniej, niż powinien, próbując dać upust złości. Rozejrzał się po izbie. Matka siedziała na ławie, w ręku trzymała różaniec. Palce zatrzymane na paciorku, jakby jego wejście przerwało jej modlitwę. Szymek od razu usiadł obok niej. Marianka stanęła obok męża.

– A co tak wchodziła? – odezwała się z pretensją Dorota. – Bez „Niech będzie pochwalony”?

– Nie czas na to – odparł Jan, chodząc po izbie. Co rusz zerkał na Szymka. Chciał coś powiedzieć, ale nie potrafił ubrać w słowa tego, co siedziało mu w głowie.

– Na bezbożnika cię nie chowałam!

– Matko, nie czas...

– A gdzie młodo? – Stara Musiałowa zwróciła się do wnuka. – A nie po tośta jechali do kościoła?

– Matko! – powtórzył Jan zirytowany. Musiał porozmawiać z Szymkiem.

– Jo ci dom, matko! – Dorota uniosła dłoń i pogroziła synowi. – Pocekej, niech no tylko łojciec wróci do chałupy, już un ci pokoże...

– Pocekom, pocekom – zgodził się Jan. – A tera dejcie mi pogodać... – Skinął głową na Szymka.

Dorota opuściła głowę i powróciła do przerwanej modlitwy.

– Chces coś powiedzieć? – Jan stanął przed synem.

– Przecie już wszystko wiecie... – odparł Szymek cicho.

– No nie wim! Bo na wszystkie świntości, za nic nie pojmuję, za co ty żeś z Ewką się spunchnął. Czegoś sukoł, jak Jagniesia chciała ci ślubować? – Coraz bardziej podnosił głos. – Czego żeś mi kazoł z Wiewiórą się godzić, jak un nos tera z powrotym przeklon? Na cośmy szli do kościoła?! – krzyknął i uderzył pięścią w ławę, tuż obok Szymka. – Czy tak żeśmy cię chowali? Na łgarza i rozpustnika?

– Czego na mnie krzyczycie? Dziwicie się, a samiście przecie... – Szymek próbował się bronić, ale silne uderzenie w głowę pozbawiło go złudzeń. Spojrzał na czerwonego ze złości ojca.

– Nie waż się! Jo żem za swoje odpokutował. Ale ty... Nie spodziewaliżwa się po tobie... Jeszcze Łonówna! – Uniósł do góry ręce. – Za co? Ani u ni posagu, ani urody, ani nic... Coś ty w ni widzioł?

– Zbłondziełym, tatulu. Wim, że to niepotrzebne było.

– A jakże! Tera trza na zapowiedzi dać...

– Co? – Szymek poderwał się zaskoczony. – Jak to na zapowiedzi? Czyje?

– Twoje i Ewki, a czyje? – odparł zrezygnowany Jan. – O Jagniesi możesz zapumnić, jak nos Wiewióra przeklon, to nie po to, coby ci dziewczuchę oddać.

– Nie chcę Ewki! – Szymon spojrzał na matkę. – Matulu...

– Matka ci nic nie pumoże. Jak żeś sobie nawarzeł, to tera będziesz pieł.

– Nie ożynię się z Ewką! Nie chcę ji.

– Trza bełło myślić, jakżeś ją pod siebie broł. Tera musisz ji ślubować. Nie sprowadzis na naszą chałupę gorszy sromoty, niż już żeś to zrobieł.

– Nie!

– Nie?

– Nie! – powtórzył Szymek. – Nie zmusicie mnie.

– Czekaj no ty... – Jan zrobił krok w kierunku syna. Szymek ani drgnął.

– Jak chcecie mnie mieć, to stójcie – powiedział. Sta-
rał się brzmieć pewnie, ale głos mu drżał. Mimo to nie
rezygnował.

– Co ty...

– Szymuś! – Po raz pierwszy odezwała się Marianka.

– To, co słyszycie! Wybierzcie, abo jo, abo Ewka. Jo
się z niom po dobroci nie ożynię, ale jak będziecie naci-
skać, pójdę w świat! – zagroził. Jan i Marianka patrzyli na
syna zdziwieni jego śmiałością. – Żałuję, wypowiadać się
mogę, odpokutuję, ile trza, ale nie ożynię się.

– Żodna cię nie będzie chciała...

– A to się jeszcze zoboczy!